



w Sledztwo KLAPKACH



BEATA BIARDA

Czy luksusowe wakacje zawsze kończą się
odpoczynkiem? Nie tym razem!

Śledztwo w klapkach

© Beata Biarda

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców

Pod redakcją: D.B. Foryś

Redakcja: Monika Malita-Bekier

Korekta: Aleksandra Baranowska

Projekt okładki: E.Raj

Skład: Marcin Halski

ISBN: 978-83-68177-53-4

ISBN E-book: 978-83-68177-54-1

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2025

Wydawnictwo Nie powiem

Email: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

Druk i oprawa:

OSDW Azymut Sp. z o.o., Łódź, ul. Senatorska 31

www.niepowiem.com.pl

BEATA BIARDA

w Sledztwo
KLAPKACH

Wojkowie 2025

NIE

POWIEM

Dla moich kochanych dzieci



Rozdział 1

Siedziałam w salonie na kanapie, ściskając w dłoni bilet. O, nie, nie. To wcale nie był taki sobie zwykły bilet, tylko bilet kolejowy relacji Warszawa–Jastarnia, w dodatku z kuszetką czteroosobową! Normalnie *full* wypas! A co! Jak szaleć, to szaleć. Ależ ja to sobie super wymyśliłam. Wszystko dograłam, dopięłam na ostatni guzik. Zadbałam nawet o to, aby córek nie było w domu. Dlatego musiałam wcześniej wtajemniczyć je w swój plan.

Walizki spakowane, buty wyczyszczone, prowiant na drogę gotowy. Po raz enty wzięłam do ręki spis zawartości mojego bagażu. Szybko przebiegłam wzrokiem po długiej liście starannie dobranych zestawów spódnic i bluzek oraz innych elementów garderoby, a wszystko w jasnych kolorach. Takie kompozycje lubię najbardziej. Pasują do moich kasztanowych włosów i zielonych oczu.

– Okej – mruknęłam zadowolona. – Wygląda na to, że wszystko spakowałam. No i super!

Dochodziła osiemnasta trzydzieści. Marcyś powinien być w domu godzinę temu.

Boże, gdzie on się podział? Zaczęłam się już trochę martwić, czy aby na pewno zdąży wrócić na czas, bo inaczej posypie mi się cały misterny plan. A czas niestety zaczynał mi się kurczyć. Co chwilę zerkałam na zegarek i odliczałam minuty. Niecierpliwie wierciłam się na siedzeniu, jakby mnie oblażyły mrówki czy jakieś inne robactwo.

Złapałam jeszcze jedną kartkę, dotychczas leżącą na stole, i nerwowo zaczytywałam kolejną listę, tym razem tak zwanych przydasiów.

– Igły, nici, nożyczki, agrafki, sznurek, latarka, baterijki zapasowe... – wyliczałam półgłosem. Spis rzeczy obejmował jeszcze kilka pozycji.

Nagle klepnęłam się dłonią w czoło, aż zadudniło.

– Szczyryk! – wrzasnęłam na cały głos. – O, kurczaczki, zapomniałam o szczyryku! – Szybko poderwałam się z miejscy, wyciągnęłam go z szuflady komody i dorzuciłam do torby podróżnej.

– Tak, teraz to już na pewno wszystko.

Odetchnęłam z ulgą i znowu spojrzałam na zegarek, który tym razem wskazywał osiemnastą czterdzieści cztery. I właśnie w tym momencie usłyszałam chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych. To Marcyś, mój kochany menu, mój staruszek, ten sam od dwudziestu dwóch lat. Nerwowo przycupnęłam na skraju krzesła i przecesałam palcami krótkie włosy. Szybko odtworzyłam w myślach przeciwczony wielokrotnie scenariusz rozmowy, którą miałam teraz odbyć.

A niech tam... W imię Boże... Raz kozie śmierć... Przełknęłam głośno ślinę. Niech się dzieje wola nieba...

– Kochanie, *I'm home* – usłyszałam jego codzienne żartobliwe powitanie, dobiegające z głębi korytarza.

– Jestem w salonie – odchrzyknęłam trochę drżącym głosem.

Marcyś wszedł do pokoju różnym krokiem, ale zahamował raptownie tuż za drzwiami. Wyprostował się mocno, co jeszcze bardziej podkreśliło jego wysoki wzrost. Wciąż był przystojnym mężczyzną, teraz z lekko szpakowatymi, starannie przystrzyżonymi włosami. Jego wielkie, orzechowe oczy stały się nagle jeszcze większe. W dłoni dzierżył bukiet różnorodnych frezji. Dobrze wiedział, że to moje najukochańsze kwiaty i że w ten sposób zawsze sprawia mi ogromną przyjemność.

– Ka... Kalinko – zająknął się na widok mojego bagażu. – Opuuszczasz mnie? – W jego oczach zauważyłam rozbawienie. – Kochanie, przecież spóźniłem się tylko godzinę. Ty już mnie nie kochasz? – spytał melodramatycznie i teatralnie przede mną klęknął. – Wybacz mi, moja pani. – Z czarującym uśmiechem wręczył mi bukiet.

Ach, jak te frezje precudnie pachniały. Zachowałam jednak poważną minę i odłożyłam je na stół. Widząc to, Marcyś również spowaźniał i podniósł się z kolan, a po chwili namysłu spytał z niedowierzaniem:

– Kalina, ty się naprawdę gdzieś wybierasz?

– Tak – odparłam szybko i zdecydowanie. – To znaczy: po pierwsze tak, gdzieś się wybieram, konkretnie nad morze. Po drugie nie, nie opuszczam cię. No, może tylko na te cztery tygodnie. A po trzecie, tak, wciąż cię kocham, głuptionsie, i nie zamierzam przestawać – zatrajkotałam, próbując się nie roześmiać.

– Ale jak to wyjeżdżasz? – spytał oniemiały. – Kiedy, dlaczego? Nic z tego nie rozumiem – dodał z westchnieniem.

– Siadaj, staruszkule – odparłam uspokajająco. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Usiadł więc posłusznie na kanapie, na wprost mnie, i wpatrywał się we mnie pytająco, czekając na wyjaśnienia.

– No cóż – zaczęłam nieśmiało. – Jak by to powiedzieć... Od tylu lat dbam o naszą rodzinę, dom, ogród. Po odchowaniu dziewczynek nie wróciłam nigdy do pracy zawodowej, bo zgodnie doszliśmy do wniosku, że tak będzie dla nas wszystkich najlepiej. Moje życie, choć wypełnione miłością i radością, było również pełne poświęceń – wytłumaczyłam. – Sam najlepiej wiesz, że nigdy na to nie narzekałam i wciąż nie narzekam, broń Boże! – dodałam szybko, widząc, że mąż robi coraz większe oczy. – Zawsze ceniłam sobie prostotę i szczęście, które płynęło z bycia z bliskimi.

Marcyś mi nie przerywał. Słuchał, starając się pojąć, co mam do powiedzenia.

– Nie zrozum mnie źle, kochany – ciągnęłam powoli. – Ja się nie skarżę. Zawsze kochałam was i kochałam moje życie z wami, a także to, że mogę o was zadbać. Czerpałam z tego ogromną radość. Jednak wiele lat temu wpadł mi w ręce prospekt wspańskiego, luksusowego pensjonatu, malowniczo położonego nad morzem. Spa, pełna obsługa, wypoczynek na wysokim poziomie, piękne widoki, łono natury i w ogóle... – zamilkłam na chwilę, a mąż cierpliwie trawił moje słowa.

– Mów dalej – poprosił łagodnie.

– Od tamtej pory po prostu zwariowałam na tym punkcie. Zakiełkowało we mnie pragnienie, by choć przez chwilę odechnąć od codzienności, wyruszyć gdzieś po przygodę. Najbardziej jednak chciałam zasmakować odrobiny luksusu, poczuć się jak celebrytka. Nie było nas na to stać, więc zaczęłam ciuć. No i wreszcie po latach nazbierałam na ten wyjazd – powiedziałam jednym tchem.

W salonie zapadła cisza. Dało się słyszeć tylko wesoły świergot ptaków dobiegający przez szeroko otwarte drzwi na taras. Ja wpatrywałam się w męża z nadzieją, a on we mnie... Już sama

nie wiedziałam: z niedowierzaniem czy z niezrozumieniem? Czekałam cierpliwie, aż przetrawi to, co właśnie usłyszałam.

– Hm, no cóż, rozumiem – odezwał się wreszcie. – Ale dlaczego wcześniej nic nie mówiłaś? Na pewno coś byśmy wymyślili.

– Nooo... Przecież sam wiesz, że takie przyjemności są bardzo kosztowne – zaczęłam. – Nie chciałam narażać nas na tak duże uszczuplenie budżetu domowego. Oszczędzaliśmy na przyszłość dziewczynek. To nie tak, że nie mogliśmy związać końca z końcem, ale wołałam każdego miesiąca po trochu zaciskać pasa. Rozłożyłam to w czasie, żeby niczego nikomu nie brakowało. Wyliczyłam sobie, że do chwili gdy Julia i Zula dorosną i będą już jakoś zabezpieczone, akurat uzbieram na ten wyjazd. No i się udało – zakończyłam triumfalnie.

– No tak, cała ty – powiedział ciepło. – Najpierw inni, potem twoja szanowna osoba. – Zaśmiał się.

– A, bo wiesz, że ja tak lubię. Najpierw muszę wszystko ogarnąć, a dopiero potem przyjemności – odparłam skromnie. – Chociaż muszę przyznać, że dodatkowo zmotywował mnie do działania fakt, iż za miesiąc kończę pięćdziesiątkę, więc warto byłoby sprawić sobie taki prezent urodzinowy.

– Wiem, wiem i pamiętam – powiedział Marcyś z uśmiechem. – Jednak wszystko w swoim czasie – dodał tajemniczo. – Dziewczyny wiedzą o tym wyjeździe? – spytał szybko, jakby chciał zmienić temat.

– Tak, rozmawiałam już z nimi. Były zachwycone. Wszystko ustaliłyśmy, więc jeśli chodzi o obowiązki domowe, będą do ciebie wpadać i pomagać. Jakoś sobie poradzicie beze mnie przez te cztery tygodnie.

– Cztery tygodnie? – mruknął pod nosem i trochę się zasępił. – Długawo, ale cóż, damy sobie przecież radę.

– Dacie, dacie. Co macie nie dać? To tylko cztery tygodnie – zapewniłam, kładąc mocny akcent na „tylko”. – To co, Marcys? Nie gniewasz się na mnie? – zapytałam przymilnie.

Zamilkłam zaniepokojona, widząc delikatny, figlarny uśmiezek, który zaczął błąkać się po jego ustach.

– Śmiejesz się ze mnie? – spytałam nieco zbita z tropu i poderwałam się na równe nogi, na co mój cudowny mąż wstał, podszedł do mnie i mocno mnie objął. Potem spojrział mi głęboko w oczy.

– Ależ skąd, ty moja celebrytko – odparł cieplutko. – Jedź i baw się dobrze. Przecież zapracowałaś na to przez te wszystkie lata. Kocham cię, Kalinko – szepnął mi jeszcze do ucha.

Uf, odetchnęłam z ulgą, zadowolona, że tak gładko poszło. Bałam się trochę tej rozmowy. Wtuliłam się więc mocniej w szerokie ramiona męża.

– Też cię kocham, skarbie – odparłam drżącym ze wzruszenia głosem.

Staliśmy tak chwilę, przyjemnie wtuleni w siebie, aż nagle coś sobie przypomniałam. Odskokczyłam jak oparzona.

– Marcys, która godzina?! – krzyknęłam, wyswobadzając się z jego objęć.

– Prawie wpół do ósmej – odparł zdziwiony moim nagłym zrywem. – Co się stało?

– O matuchno przenaświetsza! – wrzasnęłam wniebogłosy. – Jedziemy na dworzec! Zabieraj walizki i pędzimy!

– Co? Dlaczego? Teraz? – spytał osłupiały.

– Bo za półtorej godziny mam pociąg do Jastarni, a na Dworzec Centralny przecież taki kawał drogi – oznajmiłam.

– Ale co? Dzisiaj? – Marcys wytrzeszczył oczy. – Jak to: dzisiaj?

– Tak, dzisiaj. A co, nie mówiłam ci przed chwilą? – spytałam, robiąc słodką minkę i trzepocząc figlarnie rzęsami.

– Nie, nie mówiłaś. Myślałem, że to za jakiś czas. – Patrzył na mnie z niedowierzaniem. – Ale dzisiaj? Na pewno to nie żarty? – dopytywał z wyczuwalną nadzieją w głosie.

– Marcyś, błagam, szybko – dyszałam, ciągnąc największą walizkę do drzwi wyjściowych. – Pomóż!

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę! – Bardziej pomyślał na głos, niż wyszeptał mój wspaniały mąż. Pojął wreszcie, czego od niego oczekuję. Po chwilowym odrętwieniu przyjął postawę „na bacność”, a potem wspólnie zataszczyliśmy moje bagaże do auta stojącego na podjeździe.

Ruszyliśmy z kopyta, czy raczej z koła, ciężko oddychając po niedawnym wysiłku. Szeroka, dwukilometrowa aleja porośnięta szpalerem pięknych, kwitnących o tej porze lip, powiodła nas do głównej drogi w kierunku Warszawy. Jechaliśmy w ciszy, a subtelna miodowa woń z wyczuwalną nutą goryczy wdzieriała się przez uchylone okna i wprost upajała. Podziałało to na mnie jak jakiś specyfik antystresowy. Rozluźniłam się i uspokoiłam.

Gdy dotarliśmy do zjazdu z alei, nagle ogarnęły mnie złe przecucia. Złapałam swoją wielką, przepastną torbę z długim paskiem do zawieszania na ramieniu i nerwowo zaczęłam przekopywać jej zawartość, szukając najważniejszego dla mnie przedmiotu. W głowie brzęczało tylko jedno słowo – portfel. Mój nowy, piękny, elegancki czerwony portfel z całą masą zakamarków i schowków zamykanych na zatrzaski i suwaczki. Kupiłam go specjalnie na ten wyjazd. Był wielkości małej damskiej torebki i teoretycznie mógłby czasami za nią posłużyć.

Jest! Odetchnęłam z ulgą, chwytając do ręki czerwone cudętko. Otworzyłam go szybko i przebiegłam palcami po przegródkach.

Dokumenty, pieniądze, karta, mały notes, bilet... odhaczałam w myślach. Bilet kolejowy? Kurde, gdzie on jest, gdzie ja

go schowałam? Przetrzęsłam wszystkie zakamarki torby. Ki diabeł, nie ma go, kamień w wodę. O matuchno przenajświętsza, został w domu!!!

– Hamuj! – wrzasnęłam przeraźliwie.

Z niemiłosiernym piskiem opon Marcys w jednej chwili zatrzymał auto. Nieźle nami bujnęło, zanim klapnęliśmy na siedzenia.

– Kalina, na miłość boską, co się stało?! – krzyknęłam do mnie.

– Natychmiast zawracaj do domu, błagam, szybko zawracaj! – wołałam, szarpiąc go za ramię. – Zapomniałam zabrać biletu na pociąg – dodałam, wpadając już w płaczliwy ton.

Marcys bez słowa pomknął w drogę powrotną. Lipy szybko migwały teraz za oknami, nie wyczuwałam już ich zapachu. Mój szofer zahamował tuż przed wejściem do domu. Wskoczyłam z auta, nie zatrzasnąwszy drzwi.

– Nie wyłączaj silnika! – rzuciłam tylko za siebie i popędziłam do domu

Wpadłam do salonu.

– Boże! – jęknęłam błagalnie. – Gdzie on może być? – Rozejrzałam się, przebiegając wzrokiem po meblach. No i nic, kompletnie nic. Gorączkowo próbowałam sobie przypomnieć, kiedy i gdzie miałam bilet ostatni raz w ręku.

Zaraz, zaraz... Tak, chyba tak, ściszałam go w garści, gdy siedziałam na kanapie, oczekując na powrót Marcysia.

W mgnieniu oka dobiegłam do kanapy. No i znowu pudło. Nie ma. Czuję, że zaczynam wpadać w panikę i łzy napłynęły mi do oczu. Nagle zaświtał mi jeszcze jeden pomysł. Chwycałam się go jak tonący brzytwy. W jednej chwili rzuciłam się na podłogę i wsunęłam rękę pod kanapę. Nic, nic, nic, aż raptem wyczułam coś pod palcami, jakby sztywny kartonik. Serce zabiło mi mocniej. Delikatnie przesunęłam przedmiot w swoją

stronę. Wstrzymałam oddech i... Bingo! Trzymałam w ręku cenną zgubę.

– Mam, mam go! – wołałam z daleka, pędząc do auta. Klapnęłam z rozpędem na siedzeniu. – Panie kierowco, dodaj gazu – rzuciłam zdyszana, ale szczęśliwa. – Tylko nic nie mów, kochanie. Błagam! – dodałam zapobiegliwie.

Mój ukochany, wspaniały Marcyś, na którego zawsze mogłam liczyć, tym razem również mnie nie zawiódł. Przełknął tylko głośno ślinę i nie wiem, jak on to zrobił – ile przepisów drogowych złamał po drodze, a do tego bez jednego zbędnego słowa – ale dowiózł mnie na dworzec, zapakował do pociągu i jeszcze na koniec obdarzył mnie tak soczystym pocałunkiem na pożegnanie, że od razu zaczęłam za nim tęsknić.



Rozdział 2

Przebudziłam się nad ranem, w pędzącym pociągu. Podróż przebiegała bez żadnych zakłóceń. Trochę poczytałam, trochę pospałam. Od czasu gdy moje bliźniaczki, Jula i Zula, podrosły na tyle, że nie wymagały całodobowej opieki, nie musiałam już spać z otwartymi oczami. Na szczęście nie mam problemów z zasypianiem. Jak tylko przyłożę głowę do poduszki, od razu zapadam w kamienny sen. Nie przeszkadzają mi światło czy hałas. Dzięki temu noc minęła nie wiadomo kiedy. Normalnie pierwsza klasa.

Ale miałam farta, że w okresie letnim PKP uruchomiło to bezpośrednie połączenie. Co prawda jedzie się dwie godziny dłużej, ale za to nie musiałam się przesiadać. Cmoknęłam z zadowoleniem.

Za oknem zaczynało świtać. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła piąta.

Super, już niedaleko. Ziewnęłam głośno i przeciągnęłam się na całą rozpiętość skrzydeł.

– No, trzeba powoli zbierać manatki – szepnęłam do siebie.



Na stacji bardzo miły pan konduktor, z którym w Warszawie porozmawiał mój przezorny mąż, pomógł mi bardzo sprawnie wypakować się z pociągu. Poszłam na postój taksówek usytuowany tuż przy stacji. Stało tam także kilka meleksów, postanowiłam jednak pojechać zwykłą taksówką.

– Jestem przecież celebrytką – mruknęłam pod nosem, przypominając sobie żartobliwe słowa Marcysia, i uśmiechnęłam się na to wspomnienie. – Do Pensjonatu Marzeń poproszę – zwróciłam się grzecznie do kierowcy, siwiejącego już znacznie mężczyzny w starszym wieku, który uprzednio umieścił moje walizki w bagażniku.

– Już się robi, szanowna pani – odparł i ruszył z niewielkiego placu postojowego.

Spojrzałam odruchowo w lusterko wsteczne i napotkałam zaciekawiony wzrok taksówkarza.

– Na wakacje? – zagadnął.

– Tak, na wakacje – potwierdziłam z rozmarzeniem. – Trzeba wreszcie trochę odpocząć i pogrzać stare kości na słończku – dodałam.

– Oj, chyba wcale nie takie stare. – Mrugnął do mnie i uśmiechnął się wesoło do mojego odbicia.

– Bardzo pan miły. – Odwzajemniłam uśmiech.

– Pani pierwszy raz w Jastarni?

– Tak, pierwszy.

– Na długo? – drążył.

– Na cztery tygodnie.

– No, to piękny urlop się zapowiada.

– Oj, tak – odparłam lakonicznie.

Pełna obaw zaczęłam się zastanawiać, czy ten pan nagle nie okaże się zbyt namolny ze swymi pytaniami i komplementami,

ale nie, najwyraźniej stara szkoła wzięła górę. Jechaliśmy dalej w milczeniu. Minęliśmy główne zabudowy miasteczka. Podziwiałam piękną okolicę. W prześwitach między drzewami dawało się nawet zauważyć taflę morza. Zamknęłam oczy i poddałam się szumowi wpadającemu przez odrobinę uchylone okna pojazdu.

Nagle poczułam, że skręcamy z głównej drogi w lewo. Otworzyłam oczy. Dosyć sporych rozmiarów billboard ze strzałką i napisem Pensjonat Marzeń wskazywał kierunek do naszego celu. Przejechaliśmy jeszcze z pół kilometra ładnie utrzymaną drogą dojazdową, wysadzaną kasztanowcami, na których już dało się zauważyć małe, kolczaste kulki. Byłam bardzo podekscytowana i niecierpliwie czekałam na koniec podróży.

Nagle droga jakby się skończyła, a przed nami wyrosła duża, ozdobiona pięknymi ornamentami brama wjazdowa. Kierowca podjechał do domofonu ukrytego pośród wijącego się wokół niej pnącza. Rośliny tworzyły misternie utkaną, zieloną girlandę poprzeplataną błękitnymi i krwistoczerwonymi kwiatuśkami w kształcie dzwoneczków. Oczy dwóch kamer umieszczonych na szczytach obu skrzydeł bramy jednocześnie się poruszyły i skierowały swoje spojrzenie na podjeżdżający samochód.

– No to dojechaliśmy. – Kierowca odetchnął i wysiadł z auta. Otworzył drzwi z mojej strony, a następnie poszedł wypakowywać bagaże. W tym samym momencie z domofonu rozległ się dosyć głośny szum.

– Proszę poczekać, zaraz ktoś do państwa podejdzie. – Usłyszeliśmy mocny męski głos.

Spojrzałam zdziwiona na kierowcę.

– O co tu chodzi? – spytałam.

– Ano takie tutaj są zwyczaje. Dojazd tylko do bramy, a potem ktoś z pensjonatu przejmuje gości i przeprowadza ich na drugą stronę.

– Jejku, ale dlaczego tak?

– Pewnie ze względów bezpieczeństwa. Wie pani, tylu tu celebrytów czasem przyjeżdża, pewnie dlatego ten obiekt jest tak chroniony.

– No tak – bąknęłam.

– A pani też pewnie jakaś ważna osoba? – spytał, spoglądając na mnie z ukosa.

– Ależ skąd – zaoponowałam z zapalem, lekko się czerwieniąc. – No, chyba że dla męża i dzieci – dodałam już weselej.

Nagle brama zaczęła się bezszelestnie rozsuwać. Jak spod ziemi wyrósł przed nami wysoki, barczysty mężczyzna, dosłownie postury boksera wagi ciężkiej, ubrany w czarne opięte dżinsy i równie opięty T-shirt w tym samym kolorze, z napisem „Ochrona” i małą naszywką informującą, że ma na imię Grzegorz. Strój dopełniały oczywiście czarne, lustrzane okulary przeciwsłoneczne, jak na prawdziwego ochroniarza przystało, oraz zainstalowana na prawym uchu słuchawka z mikrofonem.

– Witam panią, mam na imię Grzegorz i jestem tu pracownikiem ochrony. – Wyciągnął rękę na powitanie i mocno ścisnął moją dłoń. Bałam się, że ją zmiążdży, ale na szczęście uścisk nie okazał się bardzo silny.

– Dzień dobry – odparłam trochę zdenerwowana.

– Poproszę o pani dokumenty i skierowanie do naszego pensjonatu.

– Kalina Kamińska – przedstawiłam się. – Dowód tak od razu? – dodałam ze zdziwieniem.

– Tak, wie pani, względy bezpieczeństwa – powiedział służbowym tonem.

– No tak, rozumiem, proszę bardzo – mruknęłam, podając mu to, o co prosił.

Ochroniarz spojrział szybko w moje dokumenty, a później zerknął na mnie.

– Proszę chwilę poczekać.

Odszedł trzy kroki na bok i zamienił z kimś kilka słów za pomocą nausznego komunikatora.

– Wszystko się zgadza, jest pani na liście naszych gości – oznajmił, oddając mi dokumenty. – Proszę za mną. – Przesunął się nieco i gestem wskazał kierunek, w którym powinnam się udać.

– A co z moim bagażem? – spytałam roztropnie.

– Za chwileczkę ktoś go przywiezie. O, już idzie Emil. – Wskazał głową zbliżającego się do bramy młodego mężczyznę w stroju boya hotelowego, prowadzącego duży wózek na bagaż.

Byłam tak zaaferowana tym dziwnym powitaniem, że niewiele myśląc, ruszyłam za moim przewodnikiem jak koń z kłapkami na oczach, całkowicie zapominając o bożym świecie. Ledwo zdążyłam zrobić kilka kroków, gdy z odrętwienia wyrwał mnie mocno zdziwiony głos taksówkarza, o którego istnieniu zdążyłam już z wrażenia zapomnieć.

– Ależ proszę pani! – zawołał za mną, machając ręką. – Nie zapłaciła mi pani za kurs! – dodał z wyrzutem.

Stałam jak wryta i obróciłam się szybko w jego stronę. W mgnieniu oka oblałam się zimnym potem, a rumieniec wstydu wypełził na twarz.

O matuchno przenajświętsza, co za wstyd!

Rozpaczliwie rzuciłam się w stronę kierowcy, wykopując jednocześnie z torby mój nowy, piękny portfel.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzałam niemal bezgłośnie. – Jestem taka zakręcona. Wybaczy mi pan to jakoś? – spytałam niemalże ze łzami w oczach, wciskając mu do ręki banknot wyjęty na chybił trafił z portfela.

Taksówkarz odruchowo spojrział na banknot i jeszcze mocniej wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

– Dziesięć złotych? – spytał groźnie. Łypnął na mnie okiem i... głośno się roześmiał. Miał tak rubaszny, zaraźliwy śmiech, że nie mogąc się powstrzymać, zawtórowałam mu. Kątem oka zauważyłam, że stojący obok ochroniarz uśmiechnął się lekko, pokręcił głową i dyskretnie odwrócił wzrok w drugą stronę.

Krztusząc się ze śmiechu, wyciągnęłam pięćdziesiąt złotych i wręczyłam kierowcy.

– Tak będzie dobrze? – spytałam.

– To za dużo, wystarczy trzydzieści – odparł już poważniej i wydał mi resztę. – Miłego wypoczynku.

– Dziękuję, przepraszam i do zobaczenia. – Pomachałam mu ręką na pożegnanie, gdy ruszał już w drogę powrotną.

Postałam jeszcze chwilę, patrząc za odjeżdżającą taksówką, i obróciłam się w stronę ochroniarza.

– Błagam pana, ani słowa. Tylko niech pan nikomu o tym nie mówi – jęknęłam – bo chyba spaliłabym się ze wstydu.

– Nie ma sprawy, proszę pani. Ochroniarz to prawie jak ksiądz czy doktor. – Uśmiechnął się. – Obowiązuje nas tajemnica zawodowa.

– Dzięki!

Jeszcze raz spojrzałam za odjeżdżającym kierowcą. W oddali widać było zbliżające się granatowe auto, które właśnie go mijalo i powoli zmierzało w naszym kierunku.

– No dobrze, chodźmy już, bo jadą następni goście – ponaglił mnie Grzegorz.

Ruszyliśmy więc przed siebie i po chwili po raz pierwszy przekroczyłam bramę, za którą czekał na mnie mój wytęskniony, luksusowy pensjonat, mój inny, wymarzony świat.

– Ahoj, przygodo – szepnęłam do siebie dla kurażu i bacznie się rozglądając, rażnym krokiem podążyłam za ochroniarzem.

A naprawdę było na co popatrzeć. Szeroka, wysypana białym żwirem aleja wiodła przez pięknie utrzymany park, czy

raczej ogród, pełen soczystej o tej porze roku zieleni i różnobarwnych krzewów i kwiatów. W powietrzu unosił się zapach świeżo przystrzyżonej trawy.

Nagle stanęłam jak wryta. Głośno nabrałam powietrza. Moim oczom ukazał się bowiem niecodzienny widok, a mianowicie duży plac w kształcie ronda, pośrodku którego usytuowano sporych rozmiarów fontannę przedstawiającą trzy nimfy wylewające wodę z pięknie zdobionych amfor. Z obydwu stron odchodziły od niej dość szerokie alejki, obsadzone kępami ogromnych białych hortensji. Przy jednej z nich stał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w zielone ogrodniczki. W takim razie zapewne ogrodnik. W jednej ręce trzymał sekator, a w drugiej ściętą właśnie kulę hortensji, którą próbował wręczyć stojącej obok kobiecie. Wyglądała na wyjątkowo schludną i elegancką. Srebrzyste włosy upięte w prosty kok i okrągłe okulary w czarnych oprawkach dodawały jej powagi. Sprzeczali się chyba o coś, bo kobieta, mocno gestykulując, kręciła głową.

– Hej, Robert! – krzyknął do mężczyzny ochroniarz, zatrzymując się na moment. – Podejdź później do szefowej, bo coś tam chciała od ciebie.

– Jasne, jak tylko tu skończę, to zaraz do niej pójde! – odkrzyknął ogrodnik.

Grzegorz machnął mu ręką na pożegnanie i ruszyliśmy dalej aleją wiodącą wprost od fontanny. I właśnie wtedy ukazał się moim oczom ON, mój wymarzony Pałac. Tak, Pałac, i to przez duże „P”, bo gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie nazwałabym go pensjonatem. Toż to przecież uwłaczałoby jego godności.

Oniemiałam z wrażenia. Wyglądał jeszcze piękniej niż na zdjęciach z foldera. Z zewnątrz budynek tworzył rozłożystą, lekko wklęsłą bryłę. Przyciągał uwagę białymi marmurowymi

fasadami, ozdobionymi różnymi motywami dekoracyjnymi. Każde okno zdołało wspaniale rzeźbione gzymsy. Jednak najpiękniejsze, najbardziej okazałe było wejście do tego pałacu, poprzedzone olbrzymim tarasem, do którego prowadziły zaokrąglone schody wykonane z białego marmuru. Wisienka na torcie to sześć spiralnych, bogato rzeźbionych kolumn, podpierających taras u szczytu schodów. Całości dopełniały harmonijnie współgrające z pozostałymi częściami budowli, nowoczesne przeszklone elementy, umieszczone symetrycznie z obydwu stron pensjonatu.

– Nie wierzę – szepnęłam rozmarzona. – To chyba sen.

Pewnie bym tak jeszcze stała z rozdziawioną buzią, gdyby nie ochroniarz.

– Pani Kalino, chodźmy. – Jego głos wyrwał mnie z odrętwienia. – Ale panią wzięło. – Uśmiechnął się.

– Taaa – wyrwało mi się. Przełknęłam głośno ślinę. – Tak, tak, już idę, panie Grzegorzu – dodałam pospiesznie.

Zaczęliśmy więc wchodzić po tych pięknych stylowych schodach, a ja nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wiodą mnie jak pannę młodą przed ślubny ołtarz, wprost do bram czekającego na mnie nieba.